

CHWIŁA Ż

IZABELA KOPROWIAK



ROZMOWY

WAŻNIEJSZE

OD FUTBOLU

Lenczyk • Lewandowski • Kałużny • Szatachowski
Janas • Bąk • Kryształowicz • Bartoszek • Majdan
Wojciechowski • Kokosiński • Trałka • Wichniarek
Alomerović • Kręcina • Mięciel • Kieliba • Ulatowski
O.S.T.R. • Bednarek • Wawrzyniak • Robak
Janota • Królewski • Listkiewicz



CHWILA Ż

CHWIŁA Ż

IZABELA KOPROWIAK

ROZMOWY



WAZNIEJSZE

OD FUTBOLU

BIBLIOTEKA
SPÓRTOWY

WARSZAWA 2022

Tekst © Ringier Axel Springer Polska, 2022

Redakcja: Marek Wawrzynowski
Korekta: Marcelina Samek
Projekt okładki: Cezary Piotrowski
Projekt layoutu: Michał Żeleznikowicz
Fotoedycja: Jarosław Arczewski
Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Zdjęcia:

Środek: Sebastian Borowski, Tomasz Markowski, Xinhua/East News, Mariusz Grzelak/East News, Piotr Kucza/FotoPyk (x8), Jan Malec (x2), Imago/East News (x3), Wojciech Szubartowski/Pressfocus (x2), Marek Biczuk, Paweł Jaskółka/Pressfocus, Alex Domański, Przemysław Szyszka/SE/East News, Grzegorz Radtke/O58sport (x2), Włodzimierz Sierakowski/400mm (x5), Łukasz Sobala/Pressfocus, Materiały Prasowe, Irek Dorożański, Maciej Figielek/400mm (x2), Wojciech Klepka/Cyfrasport (x2), Izabela Koprowiak, Kamil Świrydowicz/Cyfrasport, Borys Gogulski/Cyfrasport (x2), Anna Klepaczko/FotoPyk (x2), Archiwum prywatne (x2), Jakub Piasecki/Cyfrasport, Marcin Rajczak/400mm, Michał Nowak (x2), Karol Makurat/Reporter, Justyna Skubis, Patryk Pindral/400mm, Rafał Rusek/Pressfocus (x3), Beata Zawrzel/Reporter, Adam Starszyński/Pressfocus (x2), Łukasz Grochala/Cyfrasport, Maciej Śmiarowski
Tylne okładka: Justyna Skubis

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 49
02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8250-191-9

Warszawa 2022

SPIIS TREŚCI

WSTĘP	7
1. OREST LENCZYK	
Uwielbiałem Stalina	9
2. ROBERT LEWANDOWSKI	
Nie chcę się zatrzymywać. Gdy to zrobię, trudno mi będzie znów wystartować	17
3. RADOSEAW KALUŻNY	
Przez 30 lat nikt nie wiedział, że ojciec mnie bił	35
4. SEBASTIAN SZALACHOWSKI	
Nawet najbliżsi myśleli, że zwariowałem	47
5. PAWEŁ JANAS	
W tamtych czasach rak oznaczał odjazd. Tak sądziłem	59
6. JACEK BĄK	
Gra w piłkę była jak jedne wielkie wakacje	71
7. PAWEŁ KRYSZAŁOWICZ	
Magath mnie nie zniszczył, więc i rak nie zabije	82
8. MACIEJ BARTOSZEK	
Nie lubię dzielić się zmartwieniami, nawet z najbliższymi	93
9. RADOSEAW MAJDAN	
Bunt to nie rola, to całe moje życie	103
10. JÓZEF WOJCIECHOWSKI	
W Polsce straciłem przede wszystkim zdrowie	117
11. DANIEL KOKOSIŃSKI	
Pieniądze nie były warte tego wszystkiego, co przeżyłem	130

12. LUKASZ TRALEKA	
Wolałem milczeć niż oszukiwać	142
13. ARTUR WICHNIAREK	
Świat poza piłkarski jest bardziej wiarygodny	155
14. ZLATAN ALOMEROVIĆ	
Nawet kiedy stracisz wszystko, masz szansę wystartować od zera. Ważne, by przeżyć.	170
15. ZDZISŁAW KRĘCINA	
Czasem płaczę, to żaden wstyd	181
16. MARCIN MIĘCIEL	
Byłem inny niż wszyscy	190
17. BARTOSZ KIELIBA	
Przy SMA śmierć cały czas czyha za plecami	201
18. RAFAŁ ULATOWSKI	
Zaraz po tym, jak byłem na topie, znalazłem się w Hadesie	214
19. O.S.T.R.	
Z piłkarzami nie rozmawia się o piłce	227
20. FILIP BEDNAREK	
Kiedy słyszę od kogoś, że homoseksualizm to choroba, to nie mam o czym z takim człowiekiem rozmawiać	239
21. JAKUB WAWRZYŃIAK	
Posiwałem w Grecji, po wykryciu dopingu	251
22. MARCIN ROBAK	
Nie zdążyłem się pożegnać	263
23. MICHAŁ JANOTA	
Piłka trzyma mnie na powierzchni	271
24. JAROSŁAW KRÓLEWSKI	
Rozdaję 80 procent tego, co zarabiam	280
25. MICHAŁ LISTKIEWICZ	
A może pomagam z egoizmu?	299

WSTĘP

Kiedy w 2013 roku bardzo poważnie zachorowała moja mama, zdałam sobie sprawę, jak ciężko wyłączyć emocje i normalnie pracować, jednocześnie walcząc o zdrowie i życie najbliższej osoby. W mojej rodzinie kilkunastomiesięczne zmagania zakończyły się zwycięstwem, jednak kosztowały mnóstwo sił, przewartościowały wszystko, co wcześniej zdawało mi się tak istotne. Rzuciły też nowe światło na ludzi, o których pisałam od 2004 roku jako dziennikarka „Przeglądu Sportowego”. Dotarło do mnie, że to, co widzimy na boisku, jest efektem całego ich życia, nie tylko sportowego. Zaczęłam się zastanawiać, ilu z nich przeżywa osobiste dramaty, o które nikt ich nie pyta. Jak często muszą zakładać maski, udawać niezniszczalnych, podczas gdy ich dusze trawi cierpienie? Kim tak naprawdę są ci ludzie, których wydaje się, że tak dobrze znamy? Wiemy przecież, gdzie grają, ile strzelili goli w ostatnim sezonie, na ile wycenia ich Transfermarkt... Tylko co z tego? Profil na stronie 90minut.pl to suche fakty, a ja chciałam wiedzieć, co się kryje głębiej, jak myślą, co czują, z jakich doświadczeń się składają.

Aby to odkryć, potrzebowałam od bohaterów moich wywiadów przede wszystkim czasu. Prosiłam, by poświęcili mi co najmniej dwie godziny: a to przecież i tak niewiele, by odbyć wędrowkę w głąb ich życia. Tak powstał cykl, który nazwałam „Chwila z” - nazwa powstała od Miejsca Chwila, klubu, w którym początkowo był realizowany w formie wideo. Po pewnym czasie przeistoczył się w rozmowy, które słyszałam tylko ja i mój dyktafon, które były i są bardzo kameralne, w których zawsze najważniejszy był człowiek, nie jego wizerunek

czy statystyki. I które pokazały inną, często zupełnie nieznaną twarz ludzi ze świata piłki.

Przez te siedem lat uświadomiłam sobie, na czym polegają rozmowy, o których nigdy się nie zapomina. Tak ważne, tak poruszające, że choć mijają lata, ja wciąż mam przed oczami moich bohaterów. Każda z nich to osobna historia, ale jedno się nie zmieniało: zawsze czułam wdzięczność, że obcy jednak mi ludzie wpuszczają mnie do swojego świata, obdarzają zaufaniem - bardzo mi zależało, by go nie nadużyć. I nie oceniać - mogę mieć inne poglądy, przemyślenia, ale nie chcę, by rzutowały na obraz, jaki przedstawiam. Te spotkania były dla mnie jak lekcje życia. Bardzo różne, bardzo cenne. Wiele mówiły również o mnie. Pytania, jakie zadawałam od 2015 roku, zmieniały się w zależności od tego, z czym ja akurat rezonowałam najmocniej. Zmieniali się też moi rozmówcy. Od niektórych z tych spotkań minęło kilka miesięcy, od innych kilka dobrych lat. Niektórzy z bohaterów są już w zupełnie innym miejscu w życiu - bardzo cennym jest spojrzeć na ich słowa z perspektywy i zderzyć je z teraźniejszością, która najlepiej pokazuje, jak świat bywa nieprzewidywalny.

Niezwykle trudno było mi wybrać 25 wywiadów, ocenić, które powinny się w tej książce znaleźć. Wybór był więc mocno subiektywny. Z zamkniętymi oczami zaczęłam przypominać sobie rozmowy, które zostawiły największy ślad w mojej pamięci. Być może za jakiś czas ta lista wyglądałaby inaczej? W każdej chwili mogłabym przecież wymienić co najmniej sto dodatkowych nazwisk, które chciałabym tu umieścić, postaci, które otwartością i szczerością bardzo mocno mną poruszyły. Na to może przyjdzie jeszcze czas. Dziś po prostu kłaniam się z wdzięcznością wszystkim rozmówcom, którzy od lipca 2015 roku uchylali dla mnie drzwi do swojej rzeczywistości. Nie sportowcom, piłkarzom czy trenerom, a właśnie ludziom.

Warszawa, maj 2022

OREST LENCZYK

UWIELBIAŁEM STALINA

Jak się przywitać? Kto powinien wyciągnąć rękę na powitanie jako pierwszy? Ja - jako kobieta czy on - jako człowiek znacznie starszy ode mnie? Wiedziałam, że nestor wśród trenerów Orest Lenczyk do zasad *savoir-vivre* przykłada ogromną wagę, dlatego w trakcie podróży na umówiony wywiad intensywnie rozmyślałam, jak się powinnam zachować. Nie ma miejsca na błąd. Jest postrachem młodych dziennikarzy, lubuje się w wyciąganiu na wierzch ich niewiedzy, jednym pytaniem potrafi całkowicie wybić z rytmu. Rzuca insynuacje, przerywa, pozostawia niedopowiedzenia. Można się czuć jak podczas testów na inteligencję, gdzie w rolę surowego profesora wciela się trener z trzema tytułami mistrza Polski na koncie.

Z taką świadomością pojechałam do Krakowa na pierwszy wywiad z cyklu „Chwila z”. Orest Lenczyk zdawał się idealnym gościem: intrygującym, niedostępnym, wymagającym. To ostatnie przede wszystkim, dlatego w trakcie podróży intensywnie rozmyślałam, jak się zachować na przywitaniu. Spotykamy się w Brasserie w Hotelu Francuskim, który od 1912 roku wpisuje się w historię Krakowa. Miejsce o ponad stuletniej tradycji, w którym historia bije z każdego detalu, idealnie wpasowuje się w styl bycia 73-letniego wówczas szkoleniowca. Po kilkunastu sekundach stres całkowicie mija. Orest Lenczyk przytula mnie na



powitanie. Zaskakuje po raz pierwszy. Nie ostatni. Choć o takiej formie przywitania też słyszałam. Podobno sprawdzał w ten sposób piłkarzy, orientował się, czy na porannych treningach nie czuć od nich alkoholu.

Jest lipiec 2015, od ponad roku pozostaje bez pracy. Prowadzi spokojne życie w Krakowie, ma czas, by spotkać się z wnukami, choć przyznaje, że czuje już chęć powrotu do zawodu. Kiedy spokojnym tonem opowiada kolejne historie ze swojego życia, czuję się właśnie jak jedna z jego wnuczek. Zupełnie zapominam, że w środowisku piłkarskim miał opinię ekscentryka, o legendach dotyczących jego treningów z piłkami lekarskimi na sali gimnastycznej, o strachu, jaki wywoływał we mnie przed wywiadem.



Jakie ma pan pierwsze obrazy z dzieciństwa?

Jak przez mgłę pamiętam powrót z zachodu żołnierzy radzieckich, którzy zatrzymali się u nas na podwórzu. Jakies pojazdy, konie... Sanok był malutkim miastem, więc o wszystko było trudno, tym bardziej że tylko ojciec pracował, a nas była czwórka rodzeństwa. Często chodziło się boso, ale to było normalne. Najważniejsze, że nigdy nie chodziłem głodny. Po wojnie przyjechał do nas repatriant ze Związku Radzieckiego. Wsadzono go do naszego „majątku”. Został nam pokój z kuchnią, on zajął resztę. Nie ukrywam, że wychowywany byłem przez ludzi, którzy utrwalali władzę ludową. Uwielbiałem Józefa Stalina. O jego śmierci dowiedziałem się z głośnika. Byłem sam w domu, kiedy usłyszałem, że zmarł. Popłakałem się. Następnego dnia w szkole był apel, po nim poszliśmy do klasy. Wszyscy stanęli na baczność, wychowawczyni zaczęła mówić o tym wydarzeniu, kiedy jeden z kolegów zaśmiał się. Pobiła go. Nie rozumiałem, o co chodzi, byłem jednak bardzo krytyczny wobec wszystkiego, co związane z Hitlerem.

Jak w rzeczywistości radzieckiej funkcjonował pana brat o imieniu Adolf?
Mój brat ma na imię Aleksander Adrian.

Na Wikipedii jest informacja, że urodził się w 1941 roku i nadano mu imię Adolf (z czasem, już po tym wywiadzie, została usunięta).
Jeśli to przypadek, wybaczam autorowi. Ale jeśli ktoś zrobił to specjalnie, jest to zwykłe chamstwo.

Jeden z trudniejszych momentów z dzieciństwa to pobyt w szpitalu w Krakowie, gdy miał pan sześć lat?

Mocno to przeżywałem, bo wylądowałem w tym szpitalu sam, a byłem maminsynkiem. Byłem przyczepiony do jej spódnicy, do trzeciej klasy odprowadzała mnie do szkoły. Gdy w 1969 roku rozpaczalem po śmierci ojca, kolega mi powiedział: „Jak ci matka umrze, to dopiero wtedy zobaczysz, co to znaczy”. Miał rację.

Śmierć mamy w 1994 roku zmieniła pana?

Świat mi się zawalił. Pamiętam, jak brat zadzwonił o szóstej rano z informacją, że właśnie zostawił mamę w szpitalu. Przeszła wylew. Miała 80 lat, ale serce działało sprawnie. Gdyby przez 11 dni nie nastąpił ponowny wylew, to istniała szansa, że będzie sparaliżowana, ale umysłowo pozostanie sprawna. Niestety, w jedenastym dniu nastąpił. Wiadomo, że każdy kiedyś skończy swój żywot, ale gdy dotyczy to bliskiej osoby, to myśli się: czemu nie później... To straszny moment, jakby zapadła czarna kotara. Już nie mogę się do niej przytulić, poprosić o radę. Była mądrym człowiekiem, idealistką. Gdy zwolniono mnie z klubu, powiedziała: „Jakbyś się trochę lepiej uczył, to nie byłbyś trenerem”. Piła do tego, że brat i siostra są lekarzami, a ja jakimś tam nauczycielem gimnastyki, jak to określała moja ciocia ze Lwowa. Jakiś czas później usłyszałem jednak od mamy: „Dobrze, że jesteś trenerem, bo jak twój brat wraca do domu, to śmierdzi szpitalem”. Trochę mnie tymi słowami pogłaskała. Byłem blisko niej, nie

chciałem pracować z dala od Sanoka. Miałem propozycję z klubów z Gdańska, ze Szczecina, ale odmawiałem, zdecydowałem się dopiero po jej śmierci.

Ma pan trójkę rodzeństwa. W dzieciństwie trzeba było walczyć o swoje?
Rodzicom najbardziej zależało, żebyśmy skończyli szkołę. W młodości kolegowałem się z różnymi ludźmi. Byłem bardzo młody, gdy zacząłem grać w seniorach Stali Sanok. Często pół autobusu wracało „po lufie”. Ale trener zawsze sadzał mnie obok siebie, obiecał moim rodzicom, że będzie mnie pilnował.

Nie kusiło pana, by wkupić się w starsze towarzystwo?

Od kiedy spróbowałem alkoholu i papierosów, to stanowiły dla mnie coś obrzydliwego. Pamiętam, jak w 1956 roku przyjechali do Sanoka repatrianci. Zmęczeni, z tobołami, cały czas paląc. Wracając ze szkoły, przechodziliśmy obok nich, dawali nam całe paczki papierosów. Miały piękne opakowania: z pilotem, czółgiem, fajną folią. Poszliśmy do parku, koledzy zaczęli palić. Pociągnąłem i zwymiotowałem. To był mój jedyny raz w życiu.

Papieros przez wiele lat wydawał się atrybutem trenerów.

Trudna sytuacja. Na początku mojej pracy przychodził kapitan czy kierownik drużyny i pytał, czy możemy zatrzymać autokar, bo zespół chce zapalić. Ale chyba miałem rację, czując taką awersję, ponieważ w ostatnim klubie, w którym pracowałem (Zagłębie Lubin), paliło tylko dwóch graczy.

Aleksander Kłak, którego prowadził pan w Igloopolu, stwierdził, że spotkał w Dębicy dwie osoby, które nie piły: pana i Marka Zuba. Dodał jednak, że w tamtych czasach abstynencja w piłce oznaczała brak akceptacji.

Zgadza się. Dlatego miałem wiele kłopotów.

Stracił pan coś?

Raczej nie zyskałem. Sytuacja bardzo częsta: ktoś polewa alkohol, jeden z trenerów, który pił całe życie, patrząc w moją stronę, mówi po chamsku: „K... jemu nie lej, bo i tak nie wypije”. Reszta od razu miała wyrobione zdanie, w myśl zasady: nie pije, to donosi. A ten, o którym mówię, obsunął się w końcu pod stół, co wcale człowieka nie dyskwalifikowało, raczej stawało się anegdotą.

Czy to się zmieniło?

Mam takie poczucie. Wtedy był duży problem z alkoholem, dziś istnieje, ale z piwem, którego smak zupełnie mi nie odpowiada. To niby słaby trunek, ale wciąga.

Jest pan od czegoś uzależniony?

Od biegania. Od 40 lat dwa-trzy razy w tygodniu przebiegam pięć kilometrów.

Czym jest dla pana muzyka?

Współczesnej zupełnie nie rozumiem, wychowałem się na innych dźwiękach. Przed wyjazdem z rodziną na wakacje nagrywałem na kasetę muzykę poważną, by wjeżdżając do Wiednia, puścić walca Straussa. To mnie poruszało. Podobno byłem bardzo delikatnym człowiekiem. Przyjaciel powiedział mi, że przez piłkę nożną schamiałem. Ma rację.

W jakim klubie zraniono pana najbardziej?

W Bełchatowie. Dyrekcja kopalni postawiła ultimatum prezesowi GKS. Wiedział, że jeśli mnie nie zwolni, sam zostanie wyrzucony. Pomówiono mnie o rasizm w stosunku do zawodnika z Peru. Pozbyto się mnie, prezesa Ożoga w końcu też zwolniono. Bardzo porządny facet. Życie mnie jednak nauczyło, że jak ktoś jest porządny, ma problem. Zdania, które radca prawny GKS napisał o mnie w dokumencie



uzasadniającym moje zwolnienie, bardzo mnie zaboląły. Wicemistrzostwo w mieście, gdzie nie ma rynku, dworca kolejowego, nie zostało w najmniejszym stopniu docenione.

Na jakim etapie życia jest pan jako trener?

Nie uważam się za głupszego od wielu byłych trenerów reprezentacji ani też od szkoleniowców w ekstraklasie. Rozumiem jednak sytuację,

że następuje gwałtowna wymiana pokoleń, chociaż Giovanni Trapattoni jeszcze pracuje i daje sobie radę. Być może gdybym zjadł tyle makaronu co on też bym pracował. Ale mimo że fanem pasty nie jestem, myślę sobie: „Proszę bardzo, do roboty, panie Lenczyk!”

* Wywiad ukazał się w lipcu 2015 roku. Orest Lenczyk do pracy trenerskiej już nie wrócił.

BIOGRAM

URODZONY: 28 grudnia 1942 roku w Sanoku; **KARIERA TRENERSKA:** Karpaty Krosno (1970–1971), Stal Rzeszów (asystent, 1972), Siarka Tarnobrzeg (1972–1974), Stal Mielec (asystent, 1974–1975), Wisła Kraków (asystent, 1975–1977), Wisła Kraków (1977–1979), Śląsk Wrocław (1979–1980), Ruch Chorzów (1982–1984), Wisła Kraków (1984–1985), Stal Sanok (koordynator, 1985), Igloopol Dębica (1985–1986), Widzew Łódź (1987–1988), GKS Katowice (1990–1991), Wisła Kraków (1994), Pogoń Szczecin (1995), GKS Katowice (1995–1996), Ruch Chorzów (1996–1999), GKS Bełchatów (koordynator, 1999), Widzew Łódź (1999–2000), Wisła Kraków (2000–2001), Ruch Chorzów (2002), GKS Bełchatów (2005–2008), Zagłębie Lubin (2009), Cracovia (2009–2010), Śląsk Wrocław (2010–2012), Zagłębie Lubin (2013–2014)

ROBERT LEWANDOWSKI

NIE CHCĘ SIĘ ZATRZYMYWAĆ. GDY TO ZROBIĘ, TRUDNO MI BĘDZIE ZNÓW WYSTARTOWAĆ

Kilka dobrych miesięcy trzeba się starać, by spotkać się z Robertem Lewandowskim. Zanim dojdzie do rozmowy w cztery oczy, najpierw należy przekonać do tego pomysłu sztab jego zaufanych ludzi, którzy skrupulatnie rozdzielają czas gwiazdy Bayernu na różne media – z każdym rokiem więcej jest wśród nich tych zagranicznych. To oznacza, że stał się piłkarzem globalnym, nie jest już „własnością” Polaków. Wszystko jest dopięte na ostatni guzik: wyznaczają datę, konkretne miejsce spotkania – hotel Kempinski w Monachium, w którym Lewandowski udziela większości wywiadów. Siadamy w oddalonej od recepcji sali, w której nie ma nikogo oprócz nas i jego agenta, odpowiadającego za kwestie medialne. Mały, okrągły stolik, skórzane fotele, przyciemnione światła. Tam czuje się komfortowo, nikt go nie zaczepia, nie wzbudza



sensacji. Wszystko jest zaplanowane. Nie ma miejsca na spontaniczne akcje. Minęły czasy, kiedy Robert po treningu przychodził na kawę z dziennikarzem i bez wcześniejszych ustaleń udzielał wywiadu. Jeden z najlepszych piłkarzy na świecie wie, że musi dbać o każdy detal. Omawianie szczegółów wywołuje więc sporo nerwów, napięcie. To jednak mija, gdy dochodzi do rozmowy. Kiedy koło południa siadamy przy okrągłym stoliku, pokazuje, jak będąc tak wysoko, można pozostać normalnym człowiekiem. Nie ma pytania, na które nie chce odpowiadać, nie rzuca wyuczonymi formułkami. W tym, co i jak mówi, czuć szczerłość: na jego twarzy pojawia się łobuzerski uśmiech, gdy wspomina dzieciństwo w podwarszawskim Lesznie, nieco zmienia tembr głosu, spowalnia mówienie, gdy opowiada o swojej przemianie, wspomnienia o zmarłym ojcu wciąż poruszają w nim strunę smutku.

Agent Roberta na karteczce pisze, że czas mija. Przesuwa ją w moim kierunku po stoliku. Po chwili mówi wprost, że kończymy. Godzina i 45 minut muszą mi wystarczyć. I choć wydaje mi się, że Lewandowski mógłby siedzieć jeszcze wiele godzin i opowiadać o swoim życiu i przemyśleniach, to agent jest bezwzględny. Taka jego rola. Dzięki temu Robert może pozostać normalnym gościem z podwarszawskiego Leszna, co jakiś czas pokazać, powiedzieć nieco więcej. Jest świadomie szczerzy - autoryzacja okazuje się formalnością. Tak jak wie, co chce robić na boisku, tak i doskonale wie, co chce powiedzieć.



Warto rozmawiać?

Wcześniej byłem bardzo zamknięty, trudno było cokolwiek ze mnie wydobyć. Teraz staram się o tym mówić, bo dzięki temu czuję się lżej.

Duża w tym zasługa Jürgena Kloppa, pana pierwszego trenera w Niemczech?

Jürgen zbudował mnie przede wszystkim jako człowieka. Na początku nasze relacje nie były łatwe, bo co innego mówił, a co innego się działo. Przez pierwsze miesiące w Borussii byłem zawiedziony, czułem się przemęczony jego treningami. Dopiero w listopadzie 2010 wróciłem do swojej świeżości. Doskonale pamiętam moment, kiedy na treningu poczułem się tak, jak w okresie przygotowawczym. Wszyscy to zauważyli, zaczęli powtarzać, że „Lewy” wrócił. Ale ja jeszcze przez dwa miesiące musiałem czekać na szansę, na dodatek zacząłem grać nie na swojej pozycji. Czułem dużą frustrację, ale dziś wiem, że to była dla mnie nauka na następne lata, aż do końca kariery. To doświadczenie zbudowało mnie na te trudne momenty, których w przyszłości nie brakowało.

A Klopp stał się dla pana jedną z najważniejszych osób w karierze.

Nasza relacja zmieniła się w jednym momencie, po jednej rozmowie. Takiej, jakiej przez wiele lat mi brakowało, która była jak rozmowa ojca z synem. Poszedłem do niego po wyjazdowym meczu z Olympique Marsylia w Lidze Mistrzów, bo nie rozumiałem, czego właściwie ode mnie oczekuje. Przegraliśmy, coś we mnie pękło. Wiedziałem, że jeśli nie zareaguję, nic się nie zmieni. To był pierwszy moment, w którym uświadomiłem sobie, że zmiana w postępowaniu może dać mi dużo korzyści. Pogadałem z nim jak z ojcem, czego po śmierci taty nie potrafiłem robić. Nie będę zdradzał szczegółów tej rozmowy, po prostu wyjaśniliśmy sobie wiele spraw. W tamtym momencie coś we mnie eksplodowało. Trzy dni później graliśmy z Augsburgiem w Bundeslidze, strzeliłem trzy gole, miałem asystę. Wszystko ruszyło. Ta sytuacja

pokazała mi, jak ważne jest to, co się dzieje w głowie, jaka w rozmowie może kryć się siła. Bo jeśli chodzi o same umiejętności, to nigdy nie czułem się słabszy. Choć mogłem, bo przecież nie było w moich czasach piłkarza, który wyznaczał szlak, grał w czołowym klubie Europy, pokazywał, że można zająć naprawdę daleko.

Klopp zbudował pana jako człowieka, Pep Guardiola rozwinął piłkarsko, ale to Niko Kovač, trener Bayernu w latach 2018–2019, dostrzegł w panu przywódcę – jako pierwszy mianował pana wicekapitanem Bayernu. Jakie to miało dla pana znaczenie?

Gdy wiem, że ktoś we mnie wierzy, potrafię oddać to zaufanie z dużo większą siłą.

Jest pan prawdziwym przywódcą, ale tylko wówczas, gdy jest to sformalizowane?

Coś w tym jest. Nigdy nie byłem osobą, która chciała wyjść przed szereg, by coś komuś pokazać, udowodnić. Czułem, że nie muszę tego robić. Ale wiedziałem też, że gdy ktoś dostrzeże we mnie to coś, wtedy postaram się, czasem nieświadomie, oddać to zawiązką. Tak to u mnie funkcjonuje.

Opaska daje panu głos?

To dobre określenie. Daje mi mocny głos, który dociera do innych. Wywołuje u mnie większe skupienie. Gdy po raz pierwszy wyszedłem na boisko jako kapitan Bayernu, czułem coś wyjątkowego, większą adrenalinę. Byłem dumny, że ja, chłopak z Polski, z małego Leszna wychodzę z opaską i wyprowadzam wielki Bayern. Wielka mobilizacja i wielka duma.

Myśli pan czasem tak o sobie: chłopak z małego miasteczka?

Urodziłem się w Warszawie, ale wychowałem w Lesznie. W domu są jeszcze moje stare koszulki, mama zbiera pamiątki, gazety. Teraz nie

zwracam na nie uwagi, choć pewnie kiedyś będę je przeglądał. Rzeczy, które teraz nie mają większego znaczenia, w przyszłości będą mocno sentymentalne. I wtedy docenię to, czego dziś nie dostrzegam.

Bo gdy się biegnie, trudno dostrzec to, co mija się po drodze?

Staram się rozglądać na boki, ale czasem można przez ten bieg zranić bliskie osoby. Często wydawało mi się, że mam tak wiele własnych spraw, że brakowało mi czasu na myślenie o innych. Nie umiałem uporać się ze swoimi problemami, więc nie potrafiłem wczuwać się w kłopoty bliskich. Pracowałem nad tym, by nie być skupionym tylko na sobie. Na boisku zawsze będę egoistą, to normalne u napastnika, ale poza nim staram się dostrzegać inne rzeczy, których wcześniej nie widziałem. Staralem się rozwinąć, choć z dnia na dzień nie da się tego zmienić. Dziś już od tego nie uciekam. Wiele się też zmieniło, odkąd zostałem ojcem. Wcześniej myślałem o jakichś problemach, dziś wiem, że nie miały racji bytu.

Jak reaguje pan na zmiany?

Sportowcy ich nie lubią, myślą, że droga, która doprowadziła do sukcesu, jest jedyną właściwą. Boją się zaryzykować. Mają swoje rytuały, zabobony. Myślą: muszę założyć te same skarpetki, bokserki, bo kiedy miałem je na sobie, wygraliśmy. Tak działałem. Ale w pewnym momencie uznałem, że jest tego zbyt wiele. Zrozumiałem, że te rytuały działają tylko w mojej głowie, że wynik nie jest uzależniony od tego, czy przed meczem poszedłem w lewo czy prawo.

Zrozumiał pan, że zmiany mogą rozwijać?

Przychodząc do Bayernu, całkowicie zmieniłem swój trening, choć wcale nie byłem do tego przekonany. Sądziłem, że w wieku 25 lat już za późno na takie modyfikacje. Miałem dwie opcje: albo pozostać przy tym, co znałem, albo zaryzykować, co nie było łatwe. Ryzyko się opłaciło. Już wcześniej zacząłem spoglądać na siebie z boku, analizować

swoją sytuację. Patrzyłem na Roberta Lewandowskiego w Lechu, w Borussia. Gdy byłem w środku, wydawało mi się, że robię coś dużego. Ale kiedy spojrzałem na to globalnie, zrozumiałem, że to wcale nie musi być takie wielkie. Nauczyłem się wymagać od siebie więcej. Nie chcę się zatrzymywać, bo wiem, że gdy to zrobię, trudno mi będzie znów wystartować.

Szczególnie że pan cały czas biegnie.

Biegnę przez życie. Jestem młody. Fakt, że gram w jednym z najlepszych klubów na świecie, że zarabiam dobre pieniądze, nie może spowodować, iż pomyślę, że to mi wystarczy.

Powiedział pan, że próbował patrzeć na siebie z boku. Gdy dziś spojrzysz pan na Roberta Lewandowskiego z dystansu, to co zobaczy?

Widzę osobę, która mimo tego, co osiągnęła, może jeszcze iść do przodu, która nie powiedziała w piłce ostatniego słowa. Człowieka, w karierze którego wiek nie gra większej roli. Wiem, jak się czuję, jak się czuje moje ciało.

Jak?

Zacząłem grać na wysokim poziomie trochę później niż większość piłkarzy, może dzięki temu dłużej na nim pozostanę. Nie ma zawodników, którzy weszli na szczyt jako 18-latkowie i w wieku 34 czy 35 lat nadal na nim są. Funkcjonowanie na topie naprawdę nie jest łatwe. Codziennie stykasz się z oczekiwaniami, presją, trudno jest przygotować się do tego mentalnie. Im łatwiej ci coś przychodzi w młodym wieku, tym później trudniej zareagować na ciężką sytuację. Masz 18 lat, dostajesz dobry kontrakt. Kiedy po kilku latach przyjdzie pierwszy kryzys, czy potrafisz z niego wyjść? Czy jesteś przygotowany, by sobie z nim poradzić? Coś już osiągnąłeś, jesteś trochę zaspokojony. Czy wewnętrzna siła pozwoli ci z tym walczyć? Czy jednak będziesz trochę odpuszczal, bo wcześniej nie

miałeś czasu, by zbudować siłę do walki z przeciwnościami losu?
To są kluczowe kwestie.

Co dla pana oznacza kryzys?

Na pewno nie sytuację, gdy w dwóch, trzech meczach nie zdobędę bramki, nie będę miał asysty. To tylko momenty. Dla mnie kryzys byłby wtedy, jeśli fizycznie nie mógłbym walczyć z przeciwnikami.

Przeżył pan już zdefiniowany przez siebie kryzys?

Taki stan musiałby potrwać naprawdę długo, dwa-trzy miesiące. Kilka rzeczy musiałoby wydarzyć się w tym samym czasie: słaba forma fizyczna, mentalna, brak siły, by wydostać się z tego dołka. Oczywiście bywają trudniejsze chwile, ale one szybko mijają.

A mistrzostwa świata w 2018 roku?

Czy można nazwać kryzysem fakt, że nie zdobyłem bramki w Rosji? Nie, bo ta sytuacja trwała dwa tygodnie. Potem oczywiście siedziała w głowie, minęły dwa, trzy miesiące, może nawet trochę więcej czasu, zanim to przegryzłem. Ale dzięki temu wiele się nauczyłem. Zobaczyłem, jak kibic stoi za nami, za mną, po raz pierwszy poczułem aż takie wsparcie ze strony fanów.

W piłce słowo „kryzys” jest używane bardzo często. W Bayernie mówi się o nim, gdy nie strzeli pan goli w kilku meczach z rzędu.

Często jest tak, że ludzie patrzą tylko na wynik, na to, czy trafiłem do siatki. Ale w tym sezonie pełnię trochę inną rolę w zespole niż w poprzednich latach i to, czy strzelę cztery czy pięć bramek więcej czy mniej, nie ma większego znaczenia. Indywidualne dokonania musiałem podporządkować innym celom, moje liczby nie są najważniejsze. To, jak się poruszam, jak gram dla drużyny może sprawić, że będę miał na koncie kilka bramek mniej, ale wcale nie będzie to oznaczało, że rozegrałem słabszy sezon.

Jak się zmieniła pana rola w klubie?

Wzrosła moja odpowiedzialność za drużynę. Stałem się osobą, która obserwuje, co dzieje się dookoła: w szatni, poza nią. Nie mówię o taktyce, ale o relacjach w drużynie, o sytuacjach, które może ktoś źle zinterpretował. Staram się je wyjaśniać. Czasami bardzo pomaga zwykła rozmowa. Otwiera oczy, oczyszcza. Wiem to po sobie. Gdy pogadam o tym, co mnie trapi, uświadamiam sobie, jakie są przyczyny tego stanu. Często czuję, że coś mi nie pasuje, ale nie umiem zdiagnozować, co dokładnie. Dopiero potem odkrywam, co tak naprawdę mnie denerwuje.

Mam wrażenie, że rozmawiam z człowiekiem, który bardzo mocno siebie przeanalizował. I zmienił.

Zacząłem się zmieniać, jeszcze zanim pojawiła się nasza córka Klara. Życie topowego piłkarza nie jest łatwe, są ogromne oczekiwania, z którymi nie każdy jest w stanie sobie poradzić. Trzeba się tego nauczyć. Wiem, że jeśli będę ćwiczył nad mięśniami, stanie się on większy. W ten sam sposób zacząłem traktować mózg. Kilka lat temu dotarło do mnie, że nasza wewnętrzna moc jest ogromna. I cały czas uczę się z niej korzystać.

Kiedy ostatnio spał pan na podłodze?

Raczej dawno, nie lubię spać na twardym. Może z pięć minut zdrzemnąłem się na dywanie.

Na pewno spał pan na podłodze na Mazurach, zaraz po transferze do Borussia Dortmund, która w 2010 roku zapłaciła za pana transfer Lechowi Poznań 4,75 mln euro. Pojechaliście z Anią do znajomych, okazało się, że zabrakło dla was łóżka. Rozłożyliście więc karimaty i na nich spędziliście noc. Potem znajomi się śmiali, że w kuchni śpią cztery miliony euro.

Tej historii nawet nie pamiętam, ale bardzo możliwe, że tak było. Typowy mazurski klimat: najważniejsze to, z kim spędza się czas, a nie w jakich warunkach. Dla nas rzeczy materialne nie są najważniejsze,

staramy się podchodzić do życia według zasady: nie jest istotne to, co masz, ale to, kim jesteś. W dzisiejszym świecie wielu ludzi o tym zapomina, nam też się zdarza, ale nauczyliśmy się stopować. I pamiętać o początkach. Zaczynaliśmy wspólne życie, zarabiając po 1200 zł. Ja jeździłem fiatem bravo, Ania matizem. Czasem wspominamy czas, gdy mieszkaliśmy w lokalu komunalnym. Pamiętamy, jacy byliśmy szczęśliwi, mimo że po kuchni czasem biegały karaluchy. Jaką przemierzaliśmy drogę, ile wyrzeczeń, pracy nas kosztowało, by dziś być w tym miejscu.

Były siatkarz Łukasz Kadziewicz, który był z wami na Mazurach, opowiadał, że podczas tej nocy uderzyła go wasza normalność. Kiedy pan poczuł, że ludzie nie traktują już pana normalnie?

Ze strony osób, którymi się otaczam, nigdy tego nie poczułem. Wiem jednak, że obcy ludzie często wyrabiają sobie o nas zdanie na podstawie różnych artykułów. Wydaje im się, że wiedzą o nas wszystko, że moje życie toczy się od zdjęcia do zdjęcia na Instagramie, a pomiędzy nimi nie ma nic innego. Musieliby ze mną zamieszkać, by dowiedzieć się, jaki naprawdę jestem. Nikt nie jest w stanie ocenić tego na podstawie godzinnego wywiadu czy spotkania.

Obraz w mediach to jedno, ale druga kwestia to traktowanie na co dzień. Jak zachować normalność w świecie, w którym niewiele osób traktuje pana zwyczajnie?

U mnie wszystko działa się krok po kroku. Kiedy zacząłem grać w Poznaniu, na mój widok reagowali kibice Lecha. Kolejny klub, kolejne osiągnięcia, skala tych reakcji się zmieniała. Umiejętność w tym odnaleźć, lubię to, nawet gdy tego nie pokazuję. Najfajniejsze są spontaniczne zachowania, których ludzie nie potrafią kontrolować. Niektórzy zaczynali płakać, inni nie mogli utrzymać telefonu w dłoni, ktoś z nerwów uciekał. Czasem też ludzie nie dowierzają, że to naprawdę ja, szczególnie gdy jestem w prywatnych ciuchach.



I wtedy bywa, że spontanicznie zaczepi pan kogoś na chodniku, ten ktoś się odwraca, a tu niespodzianka: Lewandowski.

Zdarzają się i takie „odpały”, ale nigdy, gdy gramy co trzy dni, bo wtedy jest stres, skupienie, trudno o wewnętrzną swobodę. Wiem, że jeśli przez dwa dni się rozluźnię, trzeciego dnia trudno mi będzie wejść na najwyższe obroty. Słyszałem i widziałem, jak wielu piłkarzy zmienia się po zakończeniu kariery. Wtedy pokazują prawdziwą twarz, bo schodzi stres, emocje, oczekiwania. Przychodzi luz, o który trudno podczas kariery, kiedy każdego dnia trzeba pracować, nie tylko na treningach, ale też nad sferą mentalną. Dla mnie jest ona bardzo ważna, chcę wyciągać wnioski z błędów, które popełniłem, by to, co mnie spotkało, pomogło w przyszłości.

Najwięcej uczą nas porażki?

Oczywiście, że porażki uczą, bo gdy człowiek zderza się ze ścianą, to nie ma już innej opcji niż przeanalizowanie tego, co się wydarzyło. Jednak najtrudniejsze jest wyciąganie wniosków z sukcesów. Bo jeśli wszystko dobrze idzie, wtedy mało kto analizuje, co podczas tej drogi było niewłaściwe.

Pan umie wyciągać wnioski z sukcesów?

Staram się. Gdybym nie potrafił, nie byłbym w tym miejscu. Sukcesy, które przychodzą od wielu lat, nie sprawiły, że się nimi zachłysnąłem.

Kiedy odczuwa pan największy stres?

Najtrudniejszy jest pierwszy dzień po porażce. Bezpośrednio po przegranej meczu zastanawiam się nad sytuacjami, rozkładam je na czynniki pierwsze. Dopiero kolejnego dnia po kilku godzinach snu dociera do mnie, co się stało.

Wróćmy do normalności. Umiałby pan wymienić uszczelkę w kranie?

Nie twierdzę, że potrafię zreperować wszystko, ale często gdy w domu coś się zepsuje, sam próbuję to naprawić. Dzwonię po specjalistę,

kiedy naprawdę nie mam czasu albo okazuje się to za trudne. Lubię to. Jako dzieciak bardzo dużo czasu spędzałem w garażu, potrafiłem rozkręcić silnik w motorynce. Byłem chłopakiem, którego to interesowało.

Czyli po karierze nie grozi panu, że stanie się życiowym inwalidą?

Wiem, że dzieje się tak z wieloma zawodnikami, którzy kończą grać, ale mnie to raczej nie dotyczy. Mam możliwości, żeby codzienne obowiązki wykonywali za mnie inni, ale głupio bym się czuł, gdybym czegoś nie potrafił. Wiele umiejętności nabyłem, bo musiałem. Mieszkałem sam od 16. roku życia. Nauczyłem się pracować, gotować, mimo że mam w domu superkucharke. Ale chciałem mieć świadomość, że gdy Ani akurat nie będzie, to będę umiał sam o siebie zadbać. Niewiedza powoduje we mnie strach, że z czymś mógłbym sobie nie poradzić. Tak samo było z Klarą. Gdybym nie potrafił się nią zająć, spowodowałoby to u mnie dużą frustrację, złość. Mówi się, że głupota nie boli, ale u mnie niewiedza powoduje właśnie ból, a nawet strach. Kiedy czegoś nie umiem, mocno mnie to wkurza. Kiedyś wkurzało jeszcze mocniej, teraz uczę się odpuszczać.

Dowód?

Kiedy Ania kupiła kuchenkę dla Klary, w sklepie powiedzieli jej, że bardzo łatwo się ją składa. Zobaczyłem te wszystkie śrubki, nie wyglądało to wcale prosto, ale stwierdziłem, że spróbuję. Zacząłem o 20, składałem ją dwie godziny, ale okazało się, że potrzebne są kolejne trzy. Wtedy powiedziałem: stop. Zrezygnowałem, zadzwoniłem po znajomego, następnego dnia mi pomógł. Wiedziałem, że priorytetem jest, bym wypoczął.

Poprosił pan o pomoc - to u pana nowość.

Nauczyłem się tego. Wcześniej siedziałbym pięć godzin, za wszelką cenę sam to zrobił. Teraz wiem, że są priorytety.

Co pan czuł w przeszłości, gdy musiał prosić o pomoc?

Słabość, dlatego wszystko starałem się zrobić sam. W końcu zacząłem to postrzegać w inny sposób. Zrozumiałem, że moją słabością jest fakt, że nie umiem prosić, działać z kimś innym. I gdy w ten sposób do tego podszedłem, zacząłem z tym walczyć.

Zaśnie pan, jeśli w zlewie zostaną nieumyte szklanki?

Już tak. Wcześniej byłem bardziej pedantyczny. Wkurzałem się sam na siebie, że nie potrafię odłożyć czegoś na później. Pracowałem nad tym, chociaż do końca nie umiem tego wyeliminować. Gdy kończymy bawić się z Klarą i widzę porozrzucane klocki, to mimo iż wiem, że zaraz będziemy je składać dalej, mam ochotę je posprzątać. Ale staram się tego nie robić.

Jakie jest pana pierwsze wspomnienie z dzieciństwa?

Widzę zdjęcie, które było zrobione w Grudziądzu, u babci. Miałem trzy, cztery lata, w ręku czarno-białą piłkę, która była prawie większa ode mnie. Dzieciństwo kojarzy mi się z kolorem zielonym, trawą, parkiem, przestrzenią. Jako dzieciak miałem swobodę.

Pana mama opowiadała mi, że jeszcze w przedszkolu poprosił pan, by napisała panu na karteczce zgodę, by mógł pan wracać do domu sam.

Mogłem robić bardzo wiele. Ale właśnie ta swoboda sprawiała, że nie chciałem zawieść mamy i taty, nadszarpnąć ich zaufania. Działalem podświadomie, dopiero w starszym wieku, zacząłem się zastanawiać, skąd było we mnie aż tyle rozsądku. Przecież mogłem iść na imprezę, ale wolałem się wyspać i rano stawić na treningu. Wybierałem drugą opcję, ale zupełnie nie myśląc o tym, że w przyszłości będę profesjonalnym piłkarzem. Może działałem tak, bo na co dzień widziałem poświęcenie rodziców, którzy inwestowali w sprzęt, każdego dnia dowozili mnie na treningi. Robili to dla mnie, ale nigdy nie kazali mi grać w piłkę. Dawali wolność i chyba ta wolność spowodowała, że sam

naprawdę tego chciałem. Ode mnie zależało, jak chcę spędzać czas. Dzięki temu nauczyłem się podejmować decyzje, które są właściwe dla mnie, a nie dla kolegów. Nigdy nie robiłem niczego pod presją grupy. Gdy wszyscy szli w lewo, umiałem pójść w prawo. Wielokrotnie zastanawiałem się, skąd to się u mnie wzięło. Bo świadomość tego, jak postępowałem, przyszła późno.

Później niż u rówieśników?

Wydaje mi się, że dojrzałem później niż moi koledzy. Dopiero gdy miałem dwadzieścia parę lat, zacząłem mieć pełną świadomość tego, jak działam. Ania pomagała mi znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, zacząłem analizować siebie, swoje decyzje. Wcześniej miałem praktykę, ale brakowało teorii. Teraz umiem połączyć jedno z drugim, w większości przypadków już wiem, dlaczego postąpiłem w dany sposób.

Ania pojawiła się w pana życiu na początku studiów. Wcześniej świat wyjaśniała panu siostra?

Milena jest ode mnie trzy i pół roku starsza, widziałem, że jest dużo dojrzalsza, patrzyłem, jak dorośle się zachowuje i myśli. Obserwowałem, to było u mnie typowe zachowanie. Mocno się różnimy: ona szybciej się denerwuje, ja potrafię utrzymać emocje na wodzy.

W młodości siostra była przyjaciółką, przewodnikiem po życiu czy sparringpartnerem?

Do pewnego momentu wiedziała, że jestem mniejszy, fizycznie dawała sobie ze mną radę. Ale gdy miałem jakieś 12-13, może 14 lat i po raz pierwszy zrobiłem na niej taki chwyt judo, który mocno poczuła, wtedy jej podejście do mnie się zmieniło, nabrała respektu. Tak samo było z tatą. Często ćwiczyliśmy w domu, ale kiedy pewnego dnia podczas treningu w salonie nagle położyłem go na ziemię, zrozumiał, że mam już trochę siły.

Dużo wspomnień związanych z tatą zostało panu w pamięci?

Bardzo dużo. Przede wszystkim pamiętam te wszystkie lata, które mi poświęcił, które spędziliśmy razem. Tata nie zdążył zobaczyć mojego występu w Delcie, pierwszym seniorskim klubie, do którego trafiłem. Uczestniczył jednak w moich przygotowaniach do sezonu, które myślę, że tak naprawdę były przygotowaniem do mojej kariery. Może gdy zobaczył, że jestem już gotowy, uznał, że czas na niego...

Miał pan 16 lat, gdy na zawsze zniknął z pana życia.

Gdy zmarł, żyliśmy już z Mileną w Warszawie, w mieszkaniu komunalnym, które miało nieco ponad 40 metrów. Rodzice zostali w Lesznie. Dopóki tata uprawiał sport, wyglądał i czuł się super. Choroba mocno go zdołowała, przestał o siebie dbać. Miał problemy z nadciśnieniem, musiał regularnie przyjmować leki. Bardzo bał się operacji, ale w końcu się na nią zdecydował. Gdy wszystko się udało, był tak szczęśliwy, że przeżył, że chyba za bardzo się rozluźnił. Lubił napić się alkoholu, wtedy wypił za dużo. Zapomniał wziąć tabletki. Zasnął, już się nie obudził. Mam nadzieję, że przynajmniej nie cierpiał...

W pierwszym odruchu był pan na niego zły?

Chyba nie, zła mogła być Milena, bo była starsza, więcej wiedziała i widziała. Mnie mama pewnie chroniła, aby nie wszystko do mnie docierało. Ja mogłem być jedynie zły na to, że nie potrafiłem mu pomóc. Okres, w którym walczył z chorobą, był dla niego bardzo trudny. Ale ja byłem zbyt młody, by mieć tę świadomość. Gdybym był starszy, może byłbym w stanie podbudować go na tyle, by aż tak bardzo się tym nie przejmował. Nie przejmował w środku, bo na zewnątrz nigdy nam tego nie pokazywał. Zawsze był duszą towarzystwa, choroba spowodowała jednak, że wewnętrznie podupadał. Wydaje mi się, że

przejąłem po nim tę cechę: nigdy nie mówiłem o tym, co czuję. Byłem bardzo zamknięty.

Zamknięty na emocje, na pustkę, która pozostała?

Często chciałem pogadać jak facet z facetem, dowiedzieć się, co powinienem zrobić, zapytać, czy dobrze postępuje, ale nie miałem kogo. Była mama, Milena, ale kobiety inaczej patrzą na pewne sprawy. Brakowało mi ojca, do którego mógłbym się zgłosić. Przez wiele lat musiałem więc radzić sobie sam.

Radził pan sobie, nie mówiąc o tym, co czuje?

Myszę, że te kilka lat spowodowało, że stałem się osobą, która nie mówi o swoich emocjach, nie potrafi rozmawiać, która próbuje załatwić wszystko we własnym zakresie. To był dla mnie naprawdę trudny czas. Byliśmy w Lesznie sami, rodzina mieszkała daleko, mieliśmy z nią kontakt od święta. Dopiero wchodziłem w dorosłe życie. Nie byłem jeszcze na tyle dojrzały, by zachowywać się jak prawdziwy mężczyzna, a w jednej chwili musiałem się nim stać, bo byłem jedynym facetem w rodzinie. Mimo że byłem najmłodszy, mały, niski, nieprzygotowany do tej roli ani fizycznie, ani psychicznie, musiałem temu sprostać. Wiedziałem, że nie mogę się poddać, załamać, bo moja mama i Milena będą potrzebowały mojej pomocy. Także jako mężczyzny.

Zdażył pan poznać swojego ojca?

Byłem za młody, by porozmawiać o pewnych rzeczach na poważnie. Dziś inaczej myślę, inaczej mówię. W wieku 16 lat nie ma się takich problemów jak w dorosłym życiu. Bardzo mi go brakuje. Czasem chciałbym po prostu posiedzieć z nim przy stole, pogadać. Tak wiele mu pokazać, zabrać na mecz, by mógł mnie zobaczyć, zrobić coś dla niego. Wierzył we mnie, pomagał, robił wszystko, abym się spełniał, pragnął, żebym grał na wielkich stadionach, a teraz, kiedy się udało, brakuje

go w tych najważniejszych momentach. To bardzo boli, ale muszę się z tym pogodzić. Wiem jednak, że on cały czas spogląda na mnie z góry. Rozmawiam z nim, czuję jego obecność. Czuwa. I to się nie zmieni.

* Wywiad został przeprowadzony w marcu 2019 roku. Od tamtej pory Robert Lewandowski wygrał z Bayernem Monachium Ligę Mistrzów, po raz drugi został ojcem, dwukrotnie został wybrany Piłkarzem Roku FIFA, na gali Złotej Piłki w 2021 roku odebrał nagrodę dla najlepszego napastnika. W styczniu 2022 po raz trzeci zwyciężył w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na Najlepszego Sportowca Polski. W maju 2022 roku został po raz 10. mistrzem Niemiec. Wygląda na to, że na razie po raz ostatni. 30 maja podczas konferencji prasowej reprezentacji Polski oficjalnie powiedział, że chce zmienić klub. - Moja historia w Bayernie dobiegła końca. Po ostatnich miesiącach wierzę, że transfer będzie najlepszym rozwiązaniem - oznajmił polski napastnik.

BIOGRAM

URODZONY: 21 sierpnia 1988 roku w Warszawie; **POZYCJA NA BOISKU:** napastnik; **KARIERA PIŁKARSKA:** Varsovia (juniorzy, 1997–2004), Delta Warszawa (2005), Legia II Warszawa (2005–2006), Znicz Pruszków (2006–2008), Lech Poznań (2008–2010), Borussia Dortmund (Niemcy, 2010–2014), Bayern Monachium (Niemcy, od 2014); **REPREZENTACJA:** 130 meczów, 75 goli (stan na 2 czerwca 2022)